Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem
Cena egzempl. 50 gr

kuźnica

miesięcznik poświęcony zagadnieniom współczesności i Śląska

ROK II. LUTY 1936 NR. 2.

TREŚĆ:

Polityka młodzieżowa.

Jak w wielu dziedzinach naszego życia publicznego, tak i w polityce młodzieżowej pojawiły się w ostatnim czasie pewne oznaki, zwiastujące zbliżający się przełom i na tym terenie. Warto zatem szkicowo choćby scharakteryzować tę politykę, zastanowić się wreszcie, na jakie drogi wkroczy lub wkroczyć winna.

Rzecz naturalna, że przedewszystkiem chodzić tu będzie o politykę młodzieżową obozu pomajowego, który, jako rządzący, posiada o wiele więcej możliwości kształtowania młodego pokolenia niż opozycja. Początkowo obóz pomajowy zwracał mało uwagi zwłaszcza na młodzież pozaszkolną — dopiero w ostatnich, kryzysowych latach starał się gorąco o jej pozyskanie. Młodzieży jednak nie pozyskał. Złożyło się na to wiele przyczyn:

1. Obóz pomajowy, jako zlepek grup o różnorodnych orientacjach w sprawach narodowych, społecznych itp., nie mógł zmobilizować młodzieży i dlatego, że nie miał jednolitego oblicza, jak też i dlatego, że młodzież chciały mieć poszczególne grupy czy nawet jednostki tego obozu.

2. Obóz pomajowy wysuwał prawie wyłącznie polityczne cele (t. zn. usiłował doprowadzić do zmian w ustroju politycznym), wreszcie w swej politycznej formie (BBWR) nosił charakter czegoś ad hoc stworzonego i tymczasowego. Młodzież natomiast chce zawsze walczyć pod sztandarem jakiegoś trwalszego światopoglądu, zdolnego nietylko przekonywać, ale również budzić siły emocjonalne.

Nie dziwota więc, że ideowe ugrupowania t. zw. państwowej młodzieży były słabe i między sobą skłócone. Wiązał je jak i Blok autorytet Wielkiego Marszałka.

Politykę młodzieżową opozycji można tak krótko ująć: młodzież miała wyciągać za „starych" kasztany z ognia. Młodzieży jednak opozycja miała bez porównania więcej już choćby dlatego, że obóz miał jej mało. Ponieważ ponadto obóz nie stawiał takich celów (dobro państwa głosiła również opozycja), któreby młodzież sfrontowały bojowo, zatem opozycja w swej polityce młodzieżowej górowała nad nim jeszcze tem, że dawała młodzieży przynajmniej jakiś surogat walki.

Ale tak bardzo masowego udziału młodzieży nie było i tutaj doniedawna. Tak opozycja jak i sanacja zapoznawały względy zasadnicze: że różnice między temi dwoma pokoleniami są głębsze niż kiedykolwiek, aby można było przy starym kursie programowym liczyć na młode pokolenie, że są to nietylko różnice wynikłe z wieku, ale również różnice dwóch okresów historycznych.

* * *

Są jeszcze dalsze elementy omawianego zagadnienia: otóż na ten niekorzystny stan rzeczy dla obozu

wpłynęło jeszcze to, że partje opozycyjne miały swe ugrupowania młodzieżowe, więc naturalnie zapewnioną ciągłość, podczas gdy obóz, jako niepoprzedzony żadnym zewnętrznym ruchem politycznym („wybuchnął" nagle jako konsekwencja czynu Marszałka), musiał dopiero przyczepiać do siebie pewne ugrupowania młodzieżowe albo też organizować nowe. A organizował je sztucznie. Ta sztuczność ujawniła się szczególnie wyraźnie przy organizowaniu elitarnych związków młodzieżowych. Elitarność robiona zgóry skazana jest zgóry na niepowodzenie; prawdziwe elitarne zespoły powstają przez naturalny dobór osobników mniejwięcej równieśnych i niezróżnicowanych jeszcze zbytnio hierarchicznie (pozycją społeczną, majątkową, urzędową, intelektualną. . .).

Młodzież szła zresztą nietyle dla obozu czy jego grup, ile raczej dla Marszałka. Ale Marszałka interpretowała poswojemu. Nic dziwnego, że ideowe ugrupowania młodzieży państwowej należały tylko formalnie do obozu. Nie stojąc jeszcze dobrze na nogach, już zdradzały ochotę do nieposłuszeństwa, nie mówiąc o tem, że ich hasła kolidowały całkowicie z wierzeniami „starych".

W praktyce miało to swe fatalne skutki Jakkolwiek bowiem młodzieżowe organizacje założeniami obce były obozowi, tkwiły w nim z powodów konjunkturalnych, oportunistycznych. Było to dość masowe demoralizowanie, zwłaszcza słabych jednostek. Polegało na takim swoistym „wallenrodyźmie": z jednej strony kaptowanie różnych figur politycznych i z administracji do kół senjorów, z drugiej odrębność i wrogość haseł. Sądzono, że pod dostojnym płaszczykiem senjorstwa będzie się robić rewolucję społeczną w duchu socjalistycznym.

Resumując, powiemy, że tak w opozycji (secesje z Stronnictwa Narodowego, podkreślanie samodzielności przez młodzież ludową i socjalistyczną) jak i w sanacji ideowe organizacje młodego pokolenia zdradzały i zdradzają coraz mocniejsze tendencje do samodzielności ideologicznej i organizacyjnej.

* * *

A teraz próba określenia nowego stanowiska w polityce młodzieżowej. Stawiamy dwie proste zasady:

a) pozostawienie niezależności ideologicznej i organizacyjnej ideowym organizacjom młodzieżowym,
b) nieprotegowanie żadnej z tych organizacyj.

Takiego napozór karkołomnego postawienia sprawy nie wolno pozostawić bez uzasadnienia. Do pewnego stopnia już to zrobiłem w dotychczasowych rozważaniach.

System bowiem organizacyjnego i ideologicznego uzależniania ideowych organizacyj młodzieżowych, wreszcie uprzywilejowanie niektórych z nich, nie dał żadnych dodatnich rezultatów. Oprócz tego taktycznego momentu wchodzą w grę ważniejsze: t. zw. starsze pokolenie historycznie już jest skończone albo się kończy, dalszą historję i na o wiele bardziej innych zasadach niż się to wielu wydaje tworzyć będzie pokolenie nowe. Czy zatem próby organizowania i patronowania ugrupowań „starych" ugrupowaniom „młodych" nie skończą się bankructwem? Wspólny język i wspólne fronty stworzy tylko t. zw. **pokolenie powojenne,** w którem mieszczą się ci wszyscy, co w czasach powojennych dorastali i rośli, zatem ci, co wchodzą i weszli w wiek męski, i ci, co są dziś młodzieżą i wchodzą w życie.

Takie stanowisko uzasadnione jest i historycznie i socjologicznie.

Ale są jeszcze inne pytania: pozostawienie tej samodzielności kryje w sobie niebezpieczeństwa natury ideowej i politycznej (bezdroża haseł, walka, anarchja). Tak, walka będzie, ale walka bywa w pewnych okresach historji koniecznością. Będą tendencje do wybryków i barbarzyństwa, ale takie tendencje nie są akcją ideowo polityczną, tylko zwyrodnieniem, na które jest kodeks karny i areszt. Będą tendencje anarchistyczne i rozkładowe, ale tych tendencyj nie podciągam pod tę akcję, gdyż je zgóry wykluczam z walki o przyszłość Polski. Przedmiotem walki może być tylko naród polski i jego przyszłość, a podmiotem walki tylko Polacy.

Jesteśmy państwem politycznie już mocno osadzonem — nie bójmy się praw i konieczności, które życie w tem państwie wysuwa w imię swego dalszego rozwoju.

PAWEŁ MUSIOŁ.

Złote kleszcze.

Ostatni wielki kryzys gospodarczy, który dla naszego kraju jest wciąż żywą aktualnością, przyczynił się w wysokim stopniu do pogłębienia znajomości pieniądza. Wśród rozmaitych dyskutowanych przyczyn przesilenia ekonomicznego zwrócono w świecie szczególną uwagę na jego podłoże monetarne. Wiele autorytetów — w tem nietylko wybitni mężowie stanu i finansiści, ale i uczeni ekonomiści — doszło do tego przeświadczenia, że złota (faktycznie „pozłacana") postać pieniądza, praktykowana aż do kryzysu przez przeważną część państw przy ogólnem po wojnie zawieszeniu wymienialności banknotów na złoto, jest źródłem wielu zaburzeń w gospodarstwach narodowych i nieodpowiedni stanowi instrument w ręku

polityka gospodarczego, tego, który mimo kryzysu dąży do ożywienia obrotów, nie chcąc zgodzić się na bierne wyczekiwanie końca nędzy.

* * *

Jest faktem notoryjnym, iż bardzo wiele państw odstąpiło od prawideł waluty złotej: Blok „goldstandardu" jest coraz to mniejszy. W obozie jego przeciwników znalazły się m. i. takie mocarstwa, jak Stany Zjednoczone, Niemcy.

Wielcy kierownicy życia gospodarczego tych państw, uznali owo rozwiązanie za najlepsze dla ich narodów.

* * *

Ma niewątpliwie ważkie znaczenie okoliczność, iż wyniki produkcyjne poszczególnych państw układają się w statystykach w taki sposób, że, zestawiwszy te efekty kolejno według ich procentowej wielkości w stosunku do okresu dobrej konjunktury (1928 r.), znachodzimy w grupie dobrze prosperujących — odstępców od złota, a wśród nędzarzy — jego adoratorów. Indeks np. produkcji brytyjskiej wskazywał w I kwartale 1935 r. wzrost o 11 % w stosunku do roku 1928. W Niemczech w jesiennych miesiącach 1935 roku produkcja podniosła się także na poziom nawet wyższy niż w 1928 roku.

Kiedy powyżej powołujemy się na fakty, to znaczy stawiamy twierdzenia, które naogół należą dzisiaj do niespornych, chociaż rozmaicie je wyjaśniają ekonomiści różnych obozów, dodajmy jeszcze, co już zgoła nie powinno budzić wątpliwości, iż nasze gospodarstwo narodowe, posiadające dzisiaj tak śmiesznie niską stopę produkcyjną nawet w stosunku do 1928 roku, jest warsztatem ogromnie uwstecznionym w porównaniu z wzmiankowanemi krajami Zachodniej Europy. Potrzebujemy dużo, bardzo dużo inwestycyj. Gdy inni dla przezwyciężenia kryzysowego zastoju wpadają nieomal w luksus nakładów, pławiąc się w różnokierunkowych prawdziwych autostradach i t. p., nam potrzeba poprostu — dróg, poprostu — mostów, chociażby drewnianych, a porządnych, nam trzeba ująć w karby inwestycyj swawolne potoki górskie, wyrządzające chronicznie olbrzymie spustoszenia w naszem mieniu narodowem.

Są tysiące, setki tysięcy, a z wsią licząc, miljony głodujących u nas, którzyby się tej roboty imali, aż miło. Nie brak również materji, potrzebnej do pracy, dowóz z zagranicy naogół zbędny. Jednakże niema w dostatecznej ilości pieniądza, którny pośredniczył w wymianie w grę wchodzących wartości: potrzeb naszej gospodarki narodowej, pracy robotnika i inżyniera, surowca, w kraju się znajdującego, takiegoż pożywienia i przyodziewku. Żeby te elementy skojarzyć w produkcyjnem spółdziałaniu, koniecznem jest rzekomo posiadanie większej ilości złota, odpływającego stopniowo z kas Banku Polskiego zagranicę.

Wkrótce po śmierci Marszałka Piłsudskiego wywiązała się w kraju b. obszerna rozprawa publiczna m. in. na temat kierunku naszej polityki monetarnej. Zwykłym torem przyszło do niej b. późno, gdy na Zachodzie zagadnienie przeszło już poważnie przez probierz dyskusji. Bodźcem był smutny stan naszego Skarbu w związku z nieukrywaną niską stopą cywilizacyjno-materjalną naszego kraju. W obronie waluty złotej wystąpił wtedy w serji artykułów b. min. Skarbu p. Ignacy Matuszewski. Nie wszedł on jednak do utworzonego wtedy nowego Rządu, sformowanego pod kątem widzenia wyraźnych niedostatków gospodarki narodowej. Ministrem Skarbu i Wicepremjerem dla spraw gospodarczych został b. min. Przemysłu i Handlu, znany chlubnie twórca Gdyni, naszej największej inwestycji, co do osoby którego członkowie złotego obozu żywili moc niepokoju, jeśli chodzi o sprawę pieniądza. Sfinansowanie koniecznych krajowi inwestycyj powiązano — z dość dużym sukcesem na terenie opinji publicznej — z grozą spadku wartości złotego. Nowy jednakże sternik polskich finansów nie poszedł na tak zw. eksperymenty, a budżet wybitnie wegetatywny wyrównał dalszą obniżką płac, pochodzących z funduszów publicznych, oraz podwyższeniem świadczeń podatkowych. Nastąpiło t. zw. równanie w dół, przez niektórych złośliwie określane jako równanie na... nędzę. Złotej waluty nie tknięto i wogóle nie przystąpiono do rewizji samej metody wymiany potrzeb ludzkich z uwzględnieniem gotowych u nas do produkcji elementów.

Czy można już dzisiaj uczynić bilans tej operacji?

Politykę gospodarczą nowego Rządu jest niewątpliwie trudno jeszcze dzisiaj ocenić, zwłaszcza, gdy w wypowiedziach publicznych obecnego Ministra Skarbu usłyszeliśmy obok wyraźnych dzwięków deflacji mniej określone zapowiedzi „aktywnego" ustosunkowania się do toczącego kraj przesilenia. Tem niemniej można dzisiaj swobodnie spojrzeć na mit waluty złotej, rzucony narodowi z dużym entuzjazmem przez b. kierownika naszych finansów, a przynajmniej narazie podtrzymany przez obecnego Ministra. Sposobność ku temu daje niedawno stworzony organ wyznawców waluty złotej „Polityka Gospodarcza", wyraźnie orjentujących się według programu Min. Matuszewskiego. Ów bowiem, b. w treści ciekawy, dwutygodnik przynosi w Nr. 7 w wstępnym artykule redakcyjnym coś w rodzaju bilansu z dotychczasowej batalji o walutę złotą. Ponieważ zaś te uwagi pochodzą od ekonomistów, mających w obchodzącej nas materji pogląd stanowczy, warto je przytoczyć.

Artykuł zatytułowany „Co dalej...?" nawiązuje do zgodności planu rządowego z programem Min. Matuszewskiego i snuje z niego konsekwencje mniej-więcej następujące:

Rząd musi swój program działania dalej rozwijać i precyzować. Skoro obrano drogę waluty złotej, oznacza to, iż zgodzono sie na to, że ruchy złota, jego odpływy i przypływy mają regulować pociągnięcia naszej polityki gospodarczej. Obserwuje się u nas odpływ złota z banku emisyjnego. Jest to dowód zbyt dalekoidącej ekspansji kredytowej. Potrzeba ją ścieśnić. Klasycznym w tym kierunku instrumentem waluty złotej jest podwyższenie stopy dyskontowej. Jednakowoż dzisiaj jego zastosowanie dałoby wynik, równający się zeru... rynek jest usztywniony. Elementy usztywnienia to: deficyt budżetowy, płace w związku z ochroną socjalną, kartele i wogóle monopole, *kontyngentowanie i obwarowywanie różnemi szykanami wymiany miedzynarodowej, uzależnienie ruchu kapitałów od nastrojów politycznych,*

Trzeba więc dążyć do wyzwolenia z tych więzów życia gospodarczego. Wysanować rynek kredytowy, sprowadzić obciążenia publiczne do właściwych miar, uelastycznić ceny i płace, wreszcie — jakże to chcą uczynić Szanowni Autorzy — *oczyścić rynek wymiany międzynarodowej z namnożonych tam rozmaitych „chwastów“ w rodzaju zakazów przywozu i wywozu, premjowania, dumpingu, kontyngentowania it.d.* oczywiście — dodaję — trzebaby również *wyeliminować wpływ stosunków politycznych na światowy ruch kapitałów.*

„Dopiero wówczas — pisze trybuna klasycznych ekonomistów — cena będzie decydować o rozmiarach importu i eksportu i dopiero wówczas rozpocznie się prawdziwe panowanie waluty złotej“.

Albowiem:

„Waluta złota“ to — nietylko waluta złota. To pewien skrót myślowy, za którym ekonomista widzi odrazu szereg konkretnych posunięć i szereg pożądanych równań gospodarczych. „Waluta złota“ oznacza przedewszystkiem automatyzm i elastyczność ustroju gospodarczego.

Oznacza, że decydującym elementem polityki gospodarczej przestają być elastyczno-interwencjonistyczne zakazy, nakazy, subwencje, premje, ulgi, kary, różne formy przymusu, progresje, degresje i t. d., lecz *staje się nim stopa procentowa.*

Oznacza, *że polityka zostaje podporządkowana gospodarce, wola rządzących — prawom ekonomicznym.* Oznacza powrót wolnej konkurencji, bo tylko wolna konkurencja wyrównuje ceny w stopniu dostatecznym dla unikania takich zamiarów inflacji czy deflacji, których waluta nie wytrzymuje. Oznacza wreszcie, *odrodzenie kredytu międzynarodowego,* albowiem tak jak ten kredyt nie może istnieć bez międzynarodowego pieniądza, którym jest waluta złota, tak też *i waluta złota nie może się utrzymać bez międzynarodowego* kredytu. Tak też *los naszej obecnej operacji i ratowania waluty złotej* zależy na krótką metę od konsekwencji naszego programu, a na dłuższą — *od odrodzenia międzynarodowego kredytu*“.

Przytoczyłem umyślnie w całości tę pełną szczerości pieśń o „walucie złotej“.

Należy być wdzięcznym autorom za wyznanie, iż „los naszej obecnej operacji ratowania waluty złotej“ zależy w rezultacie od czynników leżących poza naszym ustrojem gospodarczym, na które dostatecznego wpływu nie posiadamy. Stąd bardzo prawdopodobny wniosek, który obóz waluty złotej dyskretnie przemilcza: ryzyko przedsięwziętej operacji jest duże.

Na tytułowe pytanie „Co dalej?“ odpowiada „Polityka Gospodarcza“ mimo tak instruktywnych rozważań na temat istoty „waluty złotej“: „iść dalej konsekwentnie“, bo „cofać się — byłoby szaleństwem“.

Taka konkluzja mieści się odrazu na wstępie cytowanego artykułu. Niewątpliwie raziłaby zbytnią stanowczością i zarazem ogólnikowością w zakończeniu artykułu po dokładniejszem zdefinjowaniu związków międzynarodowych, od których uzależnia się powodzenie zachwalanego planu.

Nam wydaje się, że konkluzja nie jest logicznym wnioskiem z przesłanek przyjętych za pewniki. Ich treść skłania raczej do zastanowienia się, czy nie należy przystosować naszego programu gospodarczego do tych metod „sztywnych“, które zagranicą królują.

W każdym razie szkoda, iż tych ciekawych uwag nie dał p. Min. Matuszewski, wybitny współpracownik cytowanego pisma, wtedy, kiedy to opowiadał nam na łamach Gazety Polskiej, „jak i co“ należy czynić, aby Polsce zapewnić należyte prowadzenie spraw gospodarczych.

CZESŁAW PRZYMUSIŃSKI.

Reforma rolna na Śląsku.

Potrzeba gruntownej reformy rolnej w Polsce ma swe uzasadnienie w historji minionych wieków. Prawie wszędzie na ziemiach polskich władze zaborcze uwłaszczały chłopa w warunkach dla niego nieprzychylnych. Musiało to wpłynąć wybitnie ujemnie na stan posiadania szerokich warstw ludności wiejskiej, silnie się rozmnażającej a mającej w odrodzonej Polsce pierwszorzędną rolę do spełnienia.

Zwłaszcza pruska polityka agrarna pozbawiła włościan polskich na rzecz dworów wielkich ilości ziemi przy uwłaszczeniu, a rządy rosyjskie, uwalniając ludność wiejską z poddaństwa, stworzyły mnóstwo różnego rodzaju serwitutów na rzecz wsi na gruntach dworskich. W ten sposób powstała przepaść między wsią polską a dworem szlacheckim. Rzecz jasna, że tam, gdzie z biegiem czasu grunty dworskie prze-

szły z przyczyn politycznych do rąk właścicieli narodowości niepolskiej, jak na Górnym Śląsku lub w wielu wypadkach na ziemiach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego, przepaść ta jeszcze więcej się pogłębiła.

Na stratowanych przez wielką wojnę terenach powstało nowe Państwo Polskie. Hasła, idące ze Wschodu, nie mogły nie znaleźć oddźwięku w Polsce. Toteż najpopularniejszym argumentem w początkach odrodzonego Państwa, najbardziej ważkiem hasłem, którem się zdobywało zgłodniały lud i mandaty, stała się z punktu sprawa reformy rolnej.

Gorączka reformy przedostała się na teren władz ustawodawczych. Wydawało się wówczas, że wobec reform, dokonywanych w ościennych państwach po-

się mało albo nic, ażeby bezrobotnym rodzinom dopomóc do osiedlenia się na roli.

Charakterystyczny przykład, jakiemi drogami idzie parcelacja rolna w Polsce, dają cyfry, odnoszące się do reformy rolnej na Śląsku za dziesięciolecie 1925—1935, opublikowane w „Śląskich Wiadomościach Statystycznych" z października 1935 roku.

Do roku 1926 parcelacji na Śląsku prawie wcale nie było. W latach 1925 i następnym rozparcelowano zaledwie 95 ha na terenie całego województwa. Urzędowy spis wielkiej własności ziemskiej z 1927 r. *) wykazał, że w województwie śląskiem prywatna wielka własność ziemska miała przeszło 60000 ha użytków rolnych w swych rękach.

W następnych latach rozparcelowano na terenie województwa:

W roku	1927		1928		1929		1930		1931		1932		1933		1934		w okresie 1925 - 34	
	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%
ogółem . . .	3066	16	4157	21	5618	29	830	4	2625	14	512	3	1029	5	1458	8	19390	100
z tego gruntów prywat. . . .	792		1006		2180		830		1317		394		709		928		8251	43

wojennych, najświętszym obowiązkiem Sejmu jest jaknajszybsze uchwalenie ustaw o reformie. Zdawało się, że od reformy rolnej litylko zależeć będzie dalszy rozwój Polski.

Od 1920 do 1925 roku uchwalał Sejm ustawę za ustawą, które miały na celu poprawienie ustroju rolnego Polski.

Zasadniczą jest przytem ustawa z 1925 roku o wykonaniu reformy rolnej, która obowiązuje tylko na cieszyńskiej części województwa śląskiego. Niestety wyniki parcelacji w Polsce nie są zadawalające.

Rezultat parcelacji wystarczył wprawdzie, aby obniżyć cenę ziemi, za wyjątkiem Śląska, do najdalszych możliwości oraz pozostawić osadników w długach i ciągłem niezadowoleniu. Nie wystarczył natomiast na podniesienie dobrobytu drobnego rolnictwa i kultury rolnej w Państwie oraz zwiększenia produkcji krajowej. Jako konsekwencję tego mamy obecnie zjawisko paradoksalne, że w Państwie rolniczem są setki tysięcy bezrobotnych, a równocześnie przejawia się brak nabywców na grunty rolnicze, których znaczne obszary mogłyby być jeszcze rozparcelowane. Bezrobotny człowiek z Górnego Śląska, Łodzi czy Warszawy, woli biedę klepać przy kilku złotowej zapomodze z Funduszu Pracy, niż pójść pracować na rolę, okrzyczaną ze swej nierentowności. Ze strony władz czyni

Wynika z tego, że w omawianem dziesięcioleciu rozparcelowano przeciętnie niespełna 2000 ha rocznie, z czego na parcelację prywatną (osadownictwo) wypada niewiele ponad 800 ha rocznie. Od 1927 roku obszar parcelowany z roku na rok zwiększa się. Maksimum rozdzielonego gruntu przypada na 1929 rok, kiedy w ciągu roku rozparcelowano ogółem 5618 ha, czyli 29% wszystkich gruntów rozparcelowanych. Następnie w roku 1930 tempo parcelacji gwałtownie słabnie. Wprawdzie w 1931 roku obszar rozparcelowany znów się podnosi, ale w trzyleciu końcowem 1932—34 obszar rozdzielony waha się rocznie już tylko w granicach 512—1429 ha.

W ciągu dziesięciu lat nabyło ziemię z parcelacji 11901 nabywców. Z tego 5684 czyli przeszło 50% nabywców jest drobnymi rolnikami a prawie drugie tyle jest nierolnikami. Zaledwie 742 (6%) nabywców rekrutuje się z pomiędzy bezrolnej ludności wiejskiej. Władze rządowe parcelujące ziemię dają pierwszeństwo w nabywaniu ziemi byłym drobnym dzierżawcom rolnym. Toteż przeszło 50% nabywców ziemi z parcelacji rządowej stanowią byli dzierżawcy. Natomiast przy parcelacji prywatnej, dokonywanej przez osoby prywatne i przedsiębiorstwo osadnicze „Ślązak", uwzględniono zaledwie niespełna 16% drobnych dzierżawców wśród nabywców. Reszta dzierżawców zo-

*) Gazeta Urzędowa Województwa Śląskiego Nr. 9 z 1927 r.

stała pozbawiona możności nabycia dzierżawionych gruntów z powodu braku dostatecznej gotówki na kupno ziemi. Zaznaczyć należy, że wśród 40000-nej rzeszy drobnych dzierżawców na Śląsku jest znaczna ilość ludzi bardzo biednych i bezrobotnych.

Jest charakterystycznem, że w ciągu dziesięciu lat nabyło ziemię z parcelacji zaledwie 20 nabywców, mających fachowe przygotowanie do pracy na roli, zdobyte w szkołach rolniczych. Z tej liczby zaś przypada 12 na sam powiat cieszyński.

Wyciągając końcowe wnioski, należy stwierdzić, iż w okresie konjunktury była pewna tendencja dokonania parcelacji wielkiej własności ziemskiej na Śląsku. Zadanie to nie zostało dostatecznie sprężyście przeprowadzone. Rozparcelowane obszary prywatne są minimalne.

Toteż oprócz niewielkiego już zapasu ziemi państwowej mamy dziś jeszcze na Śląsku około 35000 ha użytków rolnych wielkich własności zdatnych do parcelacji, które muszą ulec rozparcelowaniu.

Ponadto linja programowa parcelacji w minionym okresie nie była prosto wytknięta. Świadczą o tem ogromne wahania w wydajności rocznej parcelacji. Ze stosunku sprzedawców ziemi do nabywców wynika dalej, że parcelacja szła po linji najmniejszego oporu. Obserwuje się to zwłaszcza przy parcelacji prywatnej, gdzie cena ziemi jest przez handlową kalkulację a także na skutek wysokiej ceny nabycia z rąk prywatnych płaconej przez instytucję parcelacyjną „Ślązak" — wyśrubowana i przez przeciętnego rolnika a tem mniej bezrolnego lub bezrobotnego niedosięgalna. Toteż tu nabywają ziemię z reguły osoby zatrudnione w innym zawodzie (nierolnicy) lub conajwyżej rolnicy zagospodarowani na własnych gospodarstwach, chcący uzupełnić swój warsztat rolny niewielką działką w drodze kupna. Fakt, że ziemię pozwala się wykupywać nierolnikom, że nie wymaga się od nich fachowego przygotowania do pracy na roli, choćby ukończenia krótszych kursów rolniczych, świadczy o bagatelizowaniu czynnika ziemi na gęsto zaludnionym Śląsku.

Duże trudności w rozwinięciu planu parcelacyjnego na Śląsku nastręcza obowiązujące jeszcze na górnośląskiej części województwa ustawodawstwo agrarne poniemieckie. Niemniej jednak to minimum pracy, której dokonano, nie przyniosło rezultatów, których możnaby się spodziewać po parcelacji ziemi na Górnym Śląsku. W związku z tem należy wstrzymać raczej parcelację t. zw. instytucyjną do 1937 roku. Każda bowiem piędź ziemi, sprzedana na Śląsku nabywcy bez fachowego przygotowania rolniczego, jest zmarnowana. Każdy program parcelacyjny na Śląsku, nie mający na celu ostatecznego rozwikłania problemu bezrobocia względnie podniesienia kultury rolnej, jest bezwartościowy.

Kto już ma swój warsztat rolny lub pracuje w przemyśle, może kupić drogą działkę od „Ślązaka". Ale czy to nie grzech społeczny parcelować w ten sposób ziemię wobec 130000 tłumu bezrobotnych na Śląsku?

Ziemia winna być sprzedawana na Śląsku tanio, a ponadto każdemu nabywcy powinno się umożliwić przed objęciem działki odbycie kilkumiesięcznego kursu rolniczo-ogrodniczego. Bezrobotny, udający się na rolę, musi być świadom, że praca jego da mu utrzymanie. Taka parcelacja będzie naprawdę pięknym pomnikiem pracy i za pracę na Śląsku. Będzie to pomnik, na który nas stać wobec mizernych pomników, które się stawia na świecie wielkim ludziom za wielką pracę. Nie oglądajmy się na innych! Nie bójmy się stanąć w rozwiązywaniu najważniejszych problemów na czele rolnictwa polskiego!

Należy się spodziewać, że od 1937 roku parcelacja prywatna na Górnym Śląsku ruszy raźnem tempem naprzód. Należy również wierzyć, że będzie ona planowa i przewidująca. W przeciwnym razie bezrobotni i bezrolni nabywcy działek nie spłacą rozterminowanej reszty ceny kupna, choćby zastosowano niewiadomo jakie oddłużenie, względnie parcelacja na Śląsku nie przyczyni się do złagodzenia bezrobocia, no i potrwa jeszcze ze 20 lat.

LUDWIK KOHUTEK.

Kilka uwag na temat szkoły.

Szkoła należy do najczulszych i najważniejszych organów w skomplikowanym mechaniźmie życia społecznego. Jako cząstka życia społecznego ulega tym wszystkim przemianom i przeobrażeniom, jakie to życie nurtują. Rozwoju społecznego nie wyprzedza, bo wyprzedzać nie może. W chwilach przełomowych, kiedy nowe rodzą się idee społeczne i nowa budzi się rzeczywistość, spełnia szkoła szczególnie ważną misję, bo misję wychowywania młodego pokolenia w duchu nowych idei.

Nie mając zamiaru dyskutować na temat reformy szkolnej, jaką przeprowadza się obecnie w Polsce, w związku z tem, co powiedziałem wyżej, podnieść muszę wątpliwość, czy wybrano odpowiedni moment do przeprowadzenia reformy, skoro Polska na żadną drogę przemian społecznych jeszcze nie weszła, a nawet nie wyłoniły się jeszcze naczelne koncepcje, według których dokonać musiałaby się zmiana naszej struktury społecznej. Nasuwa się pytanie, czy to zgóry nie przesądza o krótkotrwałości tej

reformy, pomijając już fakt, że naskutek kryzysu i strasznego zaniedbania gospodarczego i kulturalnego bezwzględnej większości kraju reforma z natury rzeczy nosić musi charakter połowiczności, niejednolitości i chaosu. Ale to tylko nawiasem.

Mam zamiar bowiem poruszyć i scharakteryzować tylko jeden fragment z życia szkoły. Zagadnienia szkolne stają się w ostatnich czasach przedmiotem dyskusji, przyczem dyskutujący popełniają ten kardynalny błąd, że, wskazując strony ujemne, z rozmaitych pobudek unikają wskazywania istotnych przyczyn zła. Do takich głosów zaliczam wystąpienia red. Rumuna i dyr. Dzięgla na ostatnich „Żywych Dziennikach“ w Katowicach. Pod adresem red. Rumuna postawiłbym ten główny zarzut, że, zabierając głos w sprawach szkoły, wybrał momenty niecodzienne, ale zdarzające się w szkole niezmiernie rzadko i uogólnił je, że wreszcie, poruszając różne anomalje, jakie cechują dzisiejszą szkołę polską, dziwnie jakoś pominął istotne przyczyny tych anomalij. A przecież red. Rumun mógł się zdobyć na taką odrobinę odwagi. Nie wiem, jaki sens i cel miało przemówienie dyr. Dzięgla. Słuchając jego przemówienia, nie zdołałem tego wymiarkować. Jedno tylko dla mnie jest jasne. Jeśli odczyt dyr. Dzięgla miał być odpowiedzią na uwagi red. Rumuna, to był najzupełniej zbyteczny.

Wracając po tej dygresji do tematu, wyjaśniam, że mówił będę o szkole średniej jako terenie lepiej mi znanym. Szkoła średnia przeżyła ostatnie lata pod hasłem wychowania państwowego oraz uspołeczniania młodzieży. Spróbuję zestawić choć w części wyniki t. zw. państwowego i społecznego wychowania. W rozważaniach swych oprę się oczywiście na obserwacjach tak własnych, jak również innych nauczycieli, oraz na wyczerpujących dyskusjach, jakie przeprowadzałem z młodzieżą 3 zakładów średnich na Śląsku.

Dotychczasowe wyniki na tym odcinku polityki szkolnej są ujemne. Dlaczego? Przedewszystkiem budzić musi poważne zastrzeżenia samo sformułowanie koncepcji wychowania państwowego. Po pierwsze, nie zostało nigdy jasno i wyraźnie określone, co ma oznaczać pojęcie wychowania państwowego. Po drugie z jakichś dziwnych, niczem nie dających się wytłumaczyć pobudek, pominięto w niem zagadnienie narodu, a więc to zagadnienie, które staje się, bo stać się musi, osią centralną wszelkich systemów wychowawczych. Łudzono się, że można ze skutkiem przekonywać młodzież o tem, że za losy Państwa Polskiego w równym stopniu wszyscy obywatele ponoszą odpowiedzialność, że jest ono wspólnem dobrem obywateli. Tak może być w teorji, ale w życiu rzecz ma się inaczej. W życiu rzecz ma się tak, że za losy państwowe Polski ponosi odpowiedzialność naród polski i że we wszystkich sprawach, obchodzących to państwo, decydować może jedynie ten naród i to w myśl własnych interesów. Tak też myśli młodzież polska a zwłaszcza — co jest ważne — wartościowa część tej młodzieży. I dobrze jest, bardzo dobrze, że tak właśnie myśli. Tworząc ideę (fikcję) wychowania państwowego, zapomniano o tem, że koncepcja państwa w oderwaniu od idei narodu niczego nie stanowi, bo państwo jest tylko organizacją, coprawda najdoskonalszą ze znanych dotąd, ale zawsze tylko organizacją narodu, że zatem od siły narodu zależy siła państwa. Niedoceniono wreszcie tak zasadniczego faktu, że kwestja wzrostu uczuć narodowych, to nie zjawisko wiecowe, jak się to nieraz mówi, w niesmaczny sposób upraszczając ważny problem, ale jeden z najbardziej głębokich i doniosłych procesów dziejowych, procesów nieodwracalnych, bo idących jako reakcja przeciw epoce, która się kończy. Myślę, że wystarczająco udowodniłem, że system wychowania państwowego, nie uwzględniając zagadnienia narodu, od początku, był fikcją, a jako fikcja nie mógł przyjąć się u młodzieży.

Ale to dopiero jedna sprawa. Jest jeszcze druga. Mianowicie idea wychowania państwowego w formie, w jakiej została podana szkole, jest najzupełniej pozbawiona treści społecznej. Cóż przez to rozumiem? Otóż to, że w pojęciu, o którem mowa, nie zostało określone, jakie to ma być państwo, dla którego mają żyć i pracować ci młodzi, dorastający obywatele. A więc czy państwo ma być przywilejem nielicznej garstki wybranych, czy też naprawdę ma być wspólnem dobrem całego narodu. Ale gdyby nawet powyższe było jasno określone w tym sensie, że państwo jest wspólnem dobrem wszystkich członków narodu, to, niestety, rozwój życia poszedł w innym kierunku. Nie jest chyba dla nikogo tajemnicą, że w ciągu ostatnich lat kryzysu, jaki ze szczególną siłą dotknął szerokie masy naszego społeczeństwa, mimo powodzi programów, zapowiedzi i miarodajnych przemówień, mimo „frontów do szarego człowieka“, w sprawie poprawy położenia szerokich mas i wogóle całej sytuacji gospodarczej nic nie zrobiliśmy. Co więcej, Państwo przez swoje organa rządowe wydawało nawet ustawy (ustawa uposażeniowa itp.), utwierdzające i tak już rażącą niesprawiedliwość w podziale dochodu społecznego, w wynagrodzeniu za pracę. Nawiasem dodam, że gdy idzie o zasady wychowania, to jest wśród nich jedna od wieków znana zasada, oddziaływania wychowawczego drogą własnego przykładu, a więc zasada, która napewno przetrwa wszystkie fikcje wychowawcze. Myślę, że gdy chodzi o ideę poświęcenia się dla państwa i społeczeństwa, to w tym wypadku niezawsze można mówić o przykładzie zgóry. A przecież młodzież nie żyje w oderwaniu od życia i spraw

publicznych. Z powyższego ujęcia zagadnienia wynika, że idea wychowania państwowego pozbawiona jest treści społecznej. Warto nadmienić, że byli nawet tacy, co, dając młodzieży zamiast prawdziwych ideałów fikcje, twierdzili, że młodzież nie powinna tworzyć sobie własnych ideałów, czy zastanawiać się nad potrzebą zmian społecznych w Polsce, ale ukochać obecną rzeczywistość polską i dla niej żyć.

Jest to dopiero jedna strona zagadnienia, o ile tak można powiedzieć, strona teoretyczna. Pozostaje jeszcze praktyczne wykonanie, które przedstawia się jeszcze gorzej. Przy tej okazji w całej swej nagości wyłania się kwestja uspołeczniania młodzieży. Wychować w duchu, o którym mowa, miała się młodzież zarówno w toku nauki, jak zwłaszcza biorąc udział w życiu specjalnego typu organizacyj szkolnych. Powszechnie wiadomo, że gdy idzie o pierwszą formę, to dochodziło nieraz do śmiesznych wprost kurjozów. Zajmę się więc bliżej drugą. Powoływanie do życia wspomnianych organizacyj odbywało się normalnie przez narzucanie ich młodzieży, a więc w sposób z punktu widzenia pedagogicznego bardzo wiele pozostawiający do życzenia. W dodatku bardzo często funkcje opiekunów pełniły osoby, które do tego nie miały żadnych kwalifikacyj. Jasnem jest, że fakty powyższe musiały fatalnie wpływać na organizacyjny skład członków i to w ten sposób, że spowodowały odsuwanie się od życia organizacyjnego jednostek naprawdę wartościowych a zapisywanie się miernot. Jak wspomniano, często opiekunowie nie mogli wpływać dodatnio na wytwarzanie się atmosfery jakiegokolwiek wychowania obywatelsko-społecznego, gdyż nie oddawali się tym sprawom z pobudek ideowych, ale litylko z pobudek przypodobania się władzy i zarobienia na awans. W powyższem też należy szukać jednej z głównych przyczyn przerostu organizacyjnego w szkole dzisiejszej. W tych warunkach nic dziwnego, że u młodzieży wytworzyło się bardzo ujemne i pogardliwe przekonanie o pracy społeczno-organizacyjnej nauczycielstwa, przekonanie, że ten lub ów nauczyciel (nauczycielka) dlatego udziela się społecznie, bo to odpowiada gustowi i wymaganiom władzy.

Przejdźmy teraz do oceny wyników, o które chodziło na początku. Tak się złożyło, że pełniłem przez rok funkcje kierownika szkoły przodowników organizacyjnych. W ciągu tego czasu „przeszło przez moje ręce“ około 150 młodych ludzi, w tem 25 z cenzusem szkoły średniej. Tak w szkole, jak i później w terenie 2 jedynie z tych cenzusowców okazało się z punktu widzenia społecznego użytecznymi, a więc ani 2%, gdy tymczasem 1 spośród pozostałych 120, którzy ukończyli kurs w szkole jako całkiem prości i zwyczajni sobie chłopcy, okazali się naprawdę czynnych w terenie 20%. Myślę, że komentarze do tych zestawień są zbyteczne. Podobnie ma się rzecz z szerszej perspektywy. Co roku opuszczają szkołę średnią oraz wracają z uniwersytetów setki młodej inteligencji, a ludzi chętnych do pracy w terenie jest coraz mniej. Do wielkiej rzadkości należą wypadki, że jakiś młody człowiek zgłosi się do pracy. (Oczywiście uwagi moje opieram na obserwacjach z terenu śląskiego, ale, o ile wiem, gdzieindziej też nie jest lepiej). Tego zjawiska nie da się wytłumaczyć wyłącznie kryzysem, gdyż mimo wszystko dość znaczny procent uzyskuje pracę, nieraz całkiem dobrze płatną. Przyczyna istotna leży w tem, że młode pokolenie jest demoralizowane przez psychozę, jaka panuje wśród starego, i to na całej drabinie życia społecznego, że nasze życie społeczne wogóle nie opiera się o jakieś wielkie ideały i że szkoła w tym względzie nie spełnia swego zadania. Trzeba się wreszcie przestać łudzić, że szkoła może dawać gotowych społeczników. Do spełniania tego zadania niema warunków. Społecznik tworzy się w terenie, w twardej pracy przy oraniu ugoru, przy rozwiązywaniu zagadnień, jakie teren stwarza. Szkoła może robić tylko jedno, może pobudzać zainteresowania w kierunku pracy społecznej, a tego, twierdzę, obecna szkoła polska nie robi.

Tak więc, gdy chodzi o społeczne nastawienie młodzieży, to wynik prowadzonej od kilku lat polityki szkolnej jest zdecydowanie negatywny. Ale polityka, o której mowa, dała jeszcze pod innym względem b. ujemne wyniki. Spowodowała b. silne obniżenie moralnego poziomu tak nauczycielstwa jak młodzieży i to jest strata najdotkliwsza, którą niełatwo będzie odrobić. Wreszcie przyczyniła się do rozluźnienia podstawowej więzi stosunku między uczniem a nauczycielem, mianowicie wzajemnego zaufania i szacunku.

Zachodzi teraz pytanie, na kogo za to wszystko spada wina. Właściwie w toku artykułu na powyższe pytanie już odpowiedziałem. Postawię zatem inne, mianowicie, jaką winę za przedstawiony stan rzeczy ponosi nauczycielstwo. W jednym wypadku ponosi winę i to winę ciężką, a to dlatego, że nie zdobyło się na żaden sprzeciw — oczywiście poza nielicznemi wyjątkami — wobec polityki, która szkole wyrządziła wielkie szkody, że zatem stało się biernem narzędziem tej polityki.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że poruszyłem temat drażliwy, którego się naogół w dyskusji unika. Poruszyłem temat otwarcie i szczerze, wychodząc z założenia, że czas już najwyższy, aby zacząć w Polsce poważną robotę, przedewszystkiem od mówienia prawdy. Dotknąłem zaledwie jednego fragmentu życia szkoły. Jest ich bardzo wiele. Wymienię tylko niektóre. A więc sprawa fikcyj metodycznych i dydaktycznych, pod których ciężarem uginała się w ostatnich latach *(obecnie na szczęście następują już zmiany)* szkoła

JANINA ZABIERZEWSKA

Od niedzieli — do niedzieli.

Od poniedziałku się biada
i do soboty klnie —
W niedzielę — mundur się wkłada
i gromko w pochodzie rżnie —

Bo co niedzielę — pochód —
z orkiestrą — bum cyk cyk,
i w tempie amerykańskiem
monopolowej łyk —

— — Albo święcenie sztandaru
plus jakiś walny zjazd —
lub akademja smętna
z poezją a la Włast —

Na pokrzepienie — „krytyka“
i tyski piwny zdrój —
— przy piwku gładko się łyka
plotkarstwa lepki łój —

Ciężki jest szary tydzień
bez zjazdów i bez mów —
Hurra! w powszechnej biedzie
łykajmy zupkę słów!!

średnia, a których wynik był taki, że została wypaczona zasadnicza idea pracy w szkole, na tle czego — między innemi — wyrobiło się u młodzieży przekonanie, że w szkole dzisiejszej więcej mówi się o pracy, niż się faktycznie pracuje; dalej sprawa stosunku środowiska domowego oraz rodziców do szkoły i naodwrót, w którym również dochodziło i dochodzi do różnych anomalij; kwestja ognisk metodycznych, przepisów szkolnych, z szerokiej perspektywy ujęte zagadnienie stosunku młodzieży do nauczyciela, kwestja celowych i niecelowych nadprogramowych zajęć w szkole (audycje radjowe, muzyczne i t. p.), osiedla, czy wreszcie sprawa przerostu biurokracji i administracji w szkole i szereg innych.

Oczywiście wszystkich tych problemów poruszyć nie mogłem, bo nie było to możliwe w jednym artykule. Może zrobię to przy innej sposobności, a może w wyniku dyskusji zrobi to ktoś z czytelników „Kuźnicy“.

ALOJZY TARG.

Książka na bezdrożach.

Zjawisko to wielokrotnie stwierdzone i więcej niż wielokrotnie omawiane: czytelnictwo w Polsce upada. Biadanie na ten temat jest tak częste i tak niezmiennie rozpaczliwe, że dziwić się nie można, gdy sam zwrot „upadek czytelnictwa“ układa usta do ziewania. Stąd też pisać obecnie na ten temat to tyle, co sobie śpiewać a Muzom.

DLACZEGO INTERES NIE IDZIE?

Ale zjawisko to zwykło się mierzyć nakładami książek i obrotami księgarskiemi. A tymczasem wskaźnik ten natury czysto handlowej jest z wielu względów nieistotny. Rozumowanie: książek drukuje się mniej, księgarnie sprzedają mało — a więc społeczeństwo oddala się od literatury, ludzie przestają czytać, jest błędne o tyle, że ujmuje rzecz tylko z punktu widzenia poszkodowanego nakładcy i księgarza. To zjawisko świadczy jedynie, że kupno książki stało się do pewnego stopnia luksusem, który nie może się żadną miarą pomieścić w granicach budżetu większości społeczeństwa. Zatem pogorszenie konjunktury na rynku księgarskim jest faktu tego naturalną konsekwencją, która nie uprawnia jeszcze do biadania nad upadkiem czytelnictwa i kultury wogóle.

A głód książki nie ustał i bodaj że się nawet nie zmniejszył. Zmuszony jednak do liczenia się z każdym złamanym grosikiem czytelnik znalazł sobie inne sposoby jego zaspokojenia: czytelnie, wypożyczalnie, wreszcie prywatną wymianę książek w granicach jaknajszerszego grona krewnych i znajomych. A więc zaspokajanie potrzeb kulturalnych pół czy ćwierć darmo lub wogóle psim swędem.

Wypożyczalnie, które dawniej były zbiornicami dzieł szczególnie wartościowych i trudniej skądinąd dostępnych (ślady tego świetnie dadzą się zaobserwować w Krakowie), dziś stały się placówkami, wiążącemi swój byt nierozerwalnie z obniżeniem stopy życiowej inteligencji. Dostarczają najszerszym

warstwom lektury na codzień w dostatecznej ilości a tym, którzyby sobie mogli na kupno książki pozwolić, dają możność łatwego uniknięcia tego tak dawniej koniecznego i stałego w niektórych budżetach wydatku.

Gdybyśmy więc zadali sobie trud zliczenia istniejących w Polsce wypożyczalń i podsumowali cyfry ich klientów, otrzymalibyśmy liczbę zapewne imponującą, któraby najdowodniej poświadczyła, że pęd do książki w społeczeństwie bynajmniej nie zaniknął. Znamienny jest w każdym razie fakt, że księgarnie wegetują i jest ich coraz mniej, że coraz to jakieś stare i zasłużone wydawnictwo poddaje się, a wypożyczalnie nietylko prosperują, ale i liczba ich stale się zwiększa, a co nowa się pojawi, to pierwszym jej chwytem konkurencyjnym jest nie postawienie księgozbioru na wyższym poziomie ale obniżka abonamentu.

O DWÓCH METODACH CZYTANIA.

Jest jednak i objaw, który możnaby związać wcale ściśle z obydwoma problemami: zastoju w księgarstwie i upadku czytelnictwa. Jest to niewidoczne może, ale stałe zanikanie t. zw. bibljotek domowych. Dla wielu ludzi stały się one niepotrzebne i to nawet nie dlatego, że z powodzeniem zastąpią je wypożyczalnie, ale że ich stosunek do książki znacznie się zmienił i rozluźnił. Mówię tu, rzecz prosta, o tych, co mogliby się na utrzymywanie domowego księgozbioru zdobyć. Gdy uświadomimy sobie sposób obcowania z literaturą za pośrednictwem wypożyczalni, fakty pewne staną się odrazu uderzające. Wypożyczalnia siedzi czytelnikowi ciągle na karku podobnie, jak przyjaciel Nowakowskiego w „Rubikonie“ ze swem stałem i natrętnem: „gdzie trzymasz?“ Jeśli to jest nowość — nieprzekraczalny termin zwrotu wyznaczają ci na dwa — trzy dni. Spróbować przetrzymać to znaczy tyle, co narazić się na niełaskę, która niedopuści cię do następnej nowości przed obdzieleniem nią wszystkich paniuś, które najgrubszą książkę bez względu na jej charakter odwalają między śniadaniem a kolacją i wieczorem z dumą już wracają po drugą. W takich warunkach (a są one typowe dla każdej wypożyczalni) utrzymywany kontakt z literaturą jest, rzecz prosta, mocno powierzchowny i nie stwarza atmosfery do normalnego obcowania z dziełem literackiem. Jeśli ta forma czytelnictwa odpowiada tym, którzy jej używać nie muszą, świadczy to bezsprzecznie o upadku kultury literackiej. Dzieło literackie w tym trybie przepuszczone przez umysł czytelnika nie pozostawia w nim żadnych trwalszych śladów. O tem, by jego treść ideową można było sobie w nawale zajęć zawodowych ugruntować i przemyśleć, by można zająć w stosunku do niej jakieś zdecydowane stanowisko, naturalnie mowy być nie może.

A bibljoteka domowa jest właśnie wyrazem zgoła przeciwnych form obcowania z literaturą. Gromadzi ona książki, które jej właścicielowi są szczególnie bliskie (i to niekoniecznie w znaczeniu pokrewieństwa), które skłaniają go do kilkakrotnego powracania do tego samego utworu, do gruntownych przemyśleń a wzamian za to dają mu żywą satysfakcję prawdziwie wartościowych doznań estetycznych, satysfakcję, jaką osiąga każdy zdolny do rzetelnego ustosunkowania się do literatury czytelnik. Tylko taki kontakt z dziełem, zapewnia jego twórcy oddźwięk w społeczeństwie.

Dziś tego rodzaju księgozbiór domowy staje się zjawiskiem coraz rzadszem. Pozatem te, które się jeszcze utrzymują, tracą swój literacki charakter. Coraz częściej zawartość ich ogranicza się do pomocy naukowych czy poprostu bryków do pracy zawodowej właściciela. Inne znów zapchane są dorywczą zbieraniną (50% pożyczone!) bez żadnego celu i wyraźnego zamiłowania gromadzoną, gdzie o wzbogaceniu księgozbioru decyduje spryt domokrążnego agenta.

Oto jeden już z bardziej zasadniczych przejawów obniżenia poziomu kultury literackiej: brak zżycia się z książką, rozluźnienie kontaktu z literaturą — co pośrednio ma swój wpływ szkodliwy na obroty księgarzy i nakładców.

Odrzuciliśmy ilościowe stawianie kwestji, widzimy, że zainteresowanie książką nie obniżyło się, jakkolwiek przybrało inne, zgodne z ekonomiczną sytuacją mas inteligencji formy. Zarazem stwierdzić musimy, że są to formy, które poziom czytelnictwa obniżają.

Spróbujmy jeszcze ująć inne, głębsze objawy upadku kultury literackiej.

„PAPIEROWY ŚWIAT“.

Jedną z najznamienniejszych cech naszego obcowania z literaturą jest snobizm, połączony z powierzchownością przeżyć estetycznych. Przez snobizm w tym wypadku rozumiem niezdrową zachłanność i ambicję pochłonięcia jaknajwiększej ilości książek. Zacofańcem nazywa się człowieka, który czyta np. jedną dobrą książkę przez dwa tygodnie. A nie czyni tego z lenistwa. Czas na lekturę wyrywa poprostu strzępami z nawału zajęć zawodowych. Do czytania musi mieć spokój i atmosferę, któraby mu umożliwiła skupienie i dokładne przemyślenie tych momentów, które go szczególnie zastanowiły. Czytając, pracuje, zastanawia się, rozważa, w końcu dochodzi do własnych samodzielnych ocen i spostrzeżeń, interpretuje czytany utwór na ton własnej

osobności. Rzecz jasna, że powraca kilkakrotnie do niektórych fragmentów, starając się zgłębić całe ich bogactwo. W wyniku tego spotyka go ironiczny uśmiech „oczytanej“ (termin cuchnący snobizmem) paniusi, która za ten czas w tramwaju, kuchni czy w łóżku odstawiła wszystko, co było najnowszego i sypie tytułami (jeśli je jeszcze pamięta) jak z rękawa. Ale nietylko paniusia. Jest to zjawisko nagminne, plaga i klątwa, pole do popisu dla pseudoliteratów i salonowych lwów, dla których literatura istnieje tylko jako temat do „inteligentnych“ rozmówek i plotek. Sprawę tę poruszył przed paru miesiącami w „Marchołcie“ Tadeusz Makarewicz, ujmując ją zwięźle a mocno i ostro. Mówi tam o ogłupiającym wyścigu w czytaniu. „Jeden na drugiego łypie zaczerwionionemi oczami i leci naprzód, bojąc się opinji nieuka, człowieka bez zainteresowań intelektualnych. Wszystko poto, aby jaknajwięcej przeczytać, wchłonąć, zapamiętać. Najwyższa mądrość i dobro, stopień do zaszczytów, okno na świat, na świat . . . „papierowy“.

Ten snobistyczny wyścig rzesz czytelników uważa autor za narzucony zgóry przez grupę „twórców“ (literatów, publicystów, krytyków), złożonej z ludzi tego samego pokroju. Grupa ta również zarażona trądem papierowości chłonie zewsząd, co się tylko da, i, żerując na obcych zdobyczach myśli, natchnieniach i pracy ułatwia, sobie tworzenie. Zasypuje rynek swemi kompilatorskiemi tworami, piętnując mianem nieuka tego, któryby się odważył książki te pomijać.

Bez względu na to, skąd ten prąd przyszedł i przez kogo został narzucony, stwierdzić trzeba, że szerokie rzesze czytelników przyjęły go bez szemrania, zaaprobowały dyktaturę tego naiwnego snobizmu. Wyniki nie dają na siebie czekać. Z dnia na dzień wzrasta zamęt w pojęciach i sądach, stopniowo a stale zanika samodzielność myślenia, zatraca się potrzeba uczciwego ustosunkowania się do idei, do konfrontowania jej z życiem. Pisze również Makarewicz, że książka „prędko czytana prędko ginie, ustępuje miejsca innym, niekoniecznie lepszym, ale nowszym. Spływa to wszystko jak woda po psie, dotykając już tylko po wierzchu przeładowanej psychiki“. Wypożyczalnie dostarczają na to wielu ciekawych przykładów. Przez kilka miesięcy po ukazaniu się książki dorwać się do niej nie można, choćby i kilka egzemplarzy było do dyspozycji, a po upływie najwyżej sześciu książka ta jest już makulaturą dla naszych „oczytanych“, o którą się pies z kulawą nogą nie zapyta. Inna kwestja, że około 80% tego, czem czytelnie zapychają gardła swym abonentom, na lepszy los nie zasługuje. Rzecz prosta, że w takich warunkach czytelnia, która niejedną wartościową pozycję literacką prześlepi, nie zaprowadzi jej, gdy czytelnik zażąda danej książki w rok po jej wydaniu. Okazuje się, że o niej nie słyszano. I nikt przez rok nie żądał!

A potem zdarzają się takie sytuacje: ktoś żąda Wierzyńskiego „Granic świata“, kierowniczka czytelni dopytuje się pilnie, co to za książka i kiedy wyszła, jest wyraźnie zakłopotana, ale uspokaja się, gdy żądający wyjaśnił, że to już kilkanaście miesięcy temu. Stojąca obok dama mówi z gryzącą ironją do swej towarzyszki: pomyśl, co za ignorancja, czego ten pan chce, „Granice świata“ napisała Nałkowska.

* * *

Oto bez pretensji do rewelacyjności kilka dowodów na istotny upadek czytelnictwa a ściślej na upadek kultury literackiej. Powiedziałem kilka — do obrazu całości jeszcze daleko.

ZDZISŁAW HIEROWSKI.

O lepszy ustrój społeczny.

(Ob. H. Krahelskiej w odpowiedzi*).

Ob. Krahelska uważa, że artykułu mojego z listopadowego numeru „Kuźnicy“ nie należało wogóle pisać. Mnie się wydaje, że był pożyteczny, skoro wywołał dyskusję, w której zabrała także głos publicystka tej miary, co ob. Krahelska. Niestety artykuł jej zawiódł. Nie znaleźliśmy w nim bowiem tego, o co prosiłem, i czego należało się spodziewać, mianowicie uzasadnionych i umotywowanych tez własnych. Artykuł poświęca natomiast zbyt wiele uwagi mojej osobie — w sposób niezupełnie uprzejmy. Poza miłemi dla uchą uwagami na temat mojego wolnomyślicielstwa lub służby w Legjonach jest cała moc grubszych (lub cieńszych) złośliwostek, które były niepotrzebne, gdyż wcale nie pomogły obalić moich tez. Nie będę odwzajemniał się podobną bronią; ale skoro już złośliwostki te pojawiły się, chcę odebrać im ich jadowitość przez oświetlenie ich kilku uwagami.

Ob. Krahelska twierdzi, jakobym „uważał własne poglądy za niedość wykrystalizowane“, jakobym „otwarcie mówił w artykule, iż nie uformowałem sobie własnych zapatrywań na kwestję ustroju“. Przeczytałem dla pewności jeszcze raz swój artykuł, ale takiego twierdzenia nie znalazłem. Jeżeli używam zwrotów „wydaje mi się“, „wyobrażam sobie“, „wypada zgodzić się z tem“, „uważam“, lub „opowiedziałbym się“, to wynika to z mojej postawy myślowej, dla której

*) Por. H. Krahelska: „W sprawie ustroju“, „Kuźnica“ — nr. 1, styczeń 1936.

nic, nawet własne poglądy, nie są świętemi dogmatami, (nienawidzę dogmatów) i jeżeli ktoś udowodni mi mocnemi argumentami, że poglądy te nie są słuszne, gotów jestem natychmiast je zmienić. Jednak ob. Krahelska argumentów takich nie wytoczyła.

Natomiast, nie przeczytawszy uważnie (jak z powyższego wynika) mojego artykułu, radzi mi po ojcowsku: „poczekać, przemyśleć, obserwować, uformować sobie poglądy, dopiero wtedy wystąpić w druku“. Uważa też moje wystąpienie „za nietylko przedwczesne, ale i społecznie szkodliwe“, gdyż jest ono „powiększaniem tego chaosu i mętlika w pojęciach“, w jakim żyjemy.

Otóż owszem: czekałem, przemyśliwałem, obserwowałem panoszącą się wszędzie frazeologję (może słusznie nazwaną mętlikiem i chaosem) i to tak frazeologję faszystowską, jak też komunistyczną, naczytałem się różnych gołosłownych haseł o konieczności zmiany ustroju bez podania, jak ten ustrój ma wyglądać, wreszcie znudziło mi się i .... „wystąpiłem w druku“ z nieco już konkretniejszą koncepcją zmiany ustroju.

Dlaczegoż to wystąpienie miałoby być „szkodliwe społecznie“? Jeżeli postawione w niem tezy komuś się nie podobają i uważa je za mylne, to nic prostszego, jak tezy te obalić i już ich szkodliwość jest zniweczona.

Ale ob. Krahelska powiada, że „byłoby to pracą żmudną i niecelową“, a mianowicie dlatego, że trzebaby przedtem „uzgodnić ściśle pojęcia i terminy jakich się używa“ — przyczem zarzuca mi, że „n. p. pojęcie „egoizm“ nic określonego nie oznacza, podając później, że według niej „egoizm przesądzał często, że człowiek stawał się rewolucjonistą, siadywał lata w więzieniach, ginął na szafocie“ i zapytuje, dlaczego ja ograniczam egoizm „do dążenia do majątku, do umiłowania własności materjalnej“.

Otóż nie ograniczam. Gdyby ob. Krahelska przeczytała uważniej mój artykuł, to zwróciłaby uwagę na ustęp, w którym szczęście sprowadzam do posiadania „wolności i dobrobytu“. Ponieważ zaś szczęście nie jest niczem innem, jak spełnieniem egoistycznych celów jednostki, a za jeden z warunków szczęścia uznałem wolność, zatem łatwo było wyciągnąć wniosek, że znaczenia pojęcia egoizm nie ograniczałem do jego form prymitywnych, jak „umiłowanie własności materjalnej“, lecz, że rozciągałem je także na jego formy uszlachetnione, jak n. p. umiłowanie wolności politycznej, lub wolności przekonań, które to umiłowania (zgadzam się) bywają tak wielkie, że prowadzą czasem do rezygnacji z dóbr materjalnych a nawet na szafot.

Zatem lepiej było spokojnie artykuł mój przeczytać, ocenić i zabrać się do solidnego, jakkolwiek może „żmudnego“ obalania zawartych w nim poglądów, — zamiast „wykręcać się sianem z piwnice“ pod pozorem niejasności pojęć — i wmawiać mi twierdzenia, których w artykule moim nie było; taki sposób napewno nie przyczynia się do zmniejszania „mętlika“.

Pomijam inne drobniejsze docinki osobiste, by nie zabierać czasu, i przechodzę do właściwego tematu.

Niewiele tu pozostało do omówienia, gdyż ta część artykułu ob. Krahelskiej — niestety — niezbyt jest w treść bogata. W dłuższych wywodach, prowadzonych z wyszukaną złośliwością (jakby to zwiększało siłę argumentów), próbuje dowieść, że w ustroju kapitalistycznym nie da się pomyśleć ograniczenie swobody gospodarstw indywidualnych, o jakiem mówiłem w swoim artykule. Wywody te obalam łatwo jednem pytaniem: Czy ob. Krahelska sądzi, że dotychczasowe ograniczenia gospodarki kapitalistycznej, jak prawo strajków, prawo umów zbiorowych, ubezpieczenia społeczne, Kasy Chorych, rady załogowe, instytucja komisarza demobilizacyjnego, progresywny podatek dochodowy, ochrona lokatorów — zostały wywalczone przez kapitalistów lub przyjęte przez nich z entuzjazmem?

Zatem — jest możliwe dalsze ograniczenie swobody gospodarstw indywidualnych.

Tez pozytywnych ob. Krahelska — jak sama mówi — nie postawiła. Zaznaczyła tylko swoje zasadnicze stanowisko, streszczające się w następujących słowach: „Szczęśliwość i wolność obywateli wydaje mi się możliwą do uskutecznienia tylko w ustroju, który zniesie własność prywatną“.

To już jest coś. Przy stosowanej u nas interpretacji ustępu Konstytucji o wolności sumienia i przekonań — takie zdecydowane postawienie sprawy zasługuje niewątpliwie na uznanie i szacunek. Niestety, twierdzenie to nie zostało uzasadnione.

W szczególności najważniejsze moje zastrzeżenia w stosunku do ustroju, znoszącego własność prywatną, zastrzeżenia, które mówiły o tem, że ustrój taki nie zapewnia obywatelom wolności (warunkującej szczęście), nie zostały zaatakowane a tem mniej obalone.

Zatem podtrzymuję swoje dawniejsze twierdzenia i to tak odnoszące się do ustroju komunistycznego, jak też mówiące o sposobach ulepszenia ustroju kapitalistycznego, i dodaję, że ustrój komunistyczny w swem założeniu przedstawia mi się jako powrót do pańszczyzny, z tą różnicą, że byłaby to pańszczyzna totalna, t. j. niewola, z której niema wyjścia.

Nie mam upodobania w niewolnictwie.

Dodaję także, że tak na pierwszy rzut oka atrakcyjne hasło o „planowej gospodarce“ — mnie zbytnio nie

fascynuje. Na czem bowiem polega planowość gospodarki? Na właściwem zaspakajaniu istniejących potrzeb społeczeństwa. Twierdzę, że inicjatywa prywatna lepiej potrafi wyczuć i zaspokoić potrzeby, niż panowie przy zielonem biurku w centrali. Twierdzę także, że planowość jest i w ustroju kapitalistycznym w dostatecznym stopniu możliwa (popieranie produkcji pożądanej, utrudnianie lub uniemożliwianie poczynań szkodliwych, jak np. kartele czyli monopole prywatne).

Mimo odmiennych przypuszczeń ob. Krahelskiej wiem, że „niema jeszcze nigdzie w świecie komunistycznego ustroju", choć rosyjscy „dyktatorzy proletarjatu" od 19 lat z niemałym wysiłkiem i niemałym rozlewem krwi bratniej próbowali go wprowadzić. Zdaje mi się także, że ustroju tego nie prędko się doczekamy. (Może ob. Krahelska ma tę samą nadzieję...).

Najcięższy (jak się może ob. Krahelskiej wydaje) cios w moje wywody (niestety znów tylko cios natury osobistej) zostawiła sobie ob. Krahelska na koniec swego artykułu, gdzie mówi:

„w sprawach ustrojowych stoimy z ob. Michejdą na tak odległych krańcach, z których nie warto już nawet próbować się porozumieć. Tyle pociechy dla Niego, że jego zapatrywania w tej kwestji idą (wypadkowo) z prądem a moje przeciw prądowi...

Ale przecie i taka postawa odpowiadać właśnie może formie danego egoizmu".

Zjadliwe te słowa zostały przez ob. Krahelską wypowiedziane wbrew lepszej wiedzy. Wie bowiem dobrze, że, gdy trzeba, umiem chadzać przeciwko prądowi i umiem ze swych przekonań wyciągać ostateczne wnioski. Jednak moje chadzanie własnemi drogami — „przeciw prądowi" — wypływa z głęboko i samodzielnie przemyślanych przekonań nie zaś z zasadniczej wrodzonej buntowniczości.

W danym wypadku — gdy chodzi o mój stosunek do ustroju kapitalistycznego — należy stwierdzić, że poszedłem raczej przeciwko prądowi, gdyż prądem obecnie jest — modne już prawie — psioczenie na kapitalizm, począwszy od skrajnej lewicy aż do pism prorządowych, — psioczenie, ograniczające się najczęściej do frazesów i nieuzasadnionych wykrzykników o konieczności zmiany ustroju a nie podające (przeważnie), w jakim kierunku ma iść ta zmiana.

Pozwoliłem sobie wystąpić w obronie kapitalizmu (z temi ulepszeniami, o jakich mówiłem), narażając się na niezbyt miłą opinję zacofańca i na wysłuchiwanie tych wszystkich obelg, jakiemi łaskawie obdarzyła mnie ob. Krahelska. — Zrobiłem to właśnie na skutek „samodzielnych przemyśliwań", której to „umiejętności" ob. Krahelska całkowicie odmówić mi raczyła.

Nakoniec (na marginesie omawianego zagadnienia) jeszcze jedno.

Oczywiście, przeżywamy w Europie kryzys ustroju, jednak nie tyle ustroju społeczno-gospodarczego, ile raczej kryzys ustroju politycznego. Faszyzmy i imperjalizmy różnego autoramentu i koloru, hodując nienawiść między narodami, powodują u siebie i u wszystkich sąsiadów konieczność nadmiernych zbrojeń i nierozsądne (z punktu widzenia ekonomji) wysiłki, w kierunku zdobycia samowystarczalności, (mury celne), co fatalnie odbija się na budżetach państwowych. Faszyzmy te każą rozmnażać się rodzinom bez oglądania się na możność wyżywienia, wychowania i zabezpieczenia potomstwa, byle tylko w ten sposób wyprodukować możliwie wielką ilość „mięsa armatniego". One to przy pomocy kleru wszech wyznań hodują ciemnotę i uległość społeczeństwa, aby tem łatwiej dało się użyć, jako potulne narzędzie ich polityki.

Tu jest główna przyczyna nędzy i wyzysku wszystkich warstw społeczeństwa.

I tu tkwi właściwy kryzys ustroju.

A rada na to? Stany zjednoczone... może najpierw Europy, a kiedyś — później — kuli ziemskiej. Ale, aby do tego dojść, — potrzeba — zdaje się — aby nam na zachętę dał ktoś porządnego łupnia (n.p. Japonja). Bo własnym rozumem — zdaje się — do tego nie dojdziemy.

Narazie zaś należy dążyć do wzmocnienia autorytetu i siły Ligi Narodów, jako zalążka rządu międzynarodowego, dążyć do wyposażenia jej w armję, która spełniałaby rolę policji międzynarodowej, dążyć do zbliżenia narodów między innemi przez wprowadzenie obowiązkowej nauki wspólnego języka n.p. „Esperanto", — który mógłby znakomicie spełnić rolę pomostu prowadzącego do porozumienia.

A zatem: poznajmy przedewszystkiem właściwe przyczyny i istotę kryzysu.

TADEUSZ MICHEJDA

Na tem dyskusję zamykamy. Artykuł będący w tej sprawie pełnym wyrazem poglądów Redakcji ukaże się w najbliższych numerach „Kuźnicy".

Redakcja.

Prawo do życia czy prawo do zbytku?

Głosy dyskusyjne na temat redukcji urzędniczek-mężatek.

I.

Artykuł p. Musioła p. t. „Moralne oblicze pewnego zjawiska" dotknął sprawy wprawdzie niewielkiej, ale oburzającej. Nic więc dziwnego, że autora artykułu „poniosło", że mocno, bo mocno, ale wyrąbał to, co mu na sercu leżało. Od szeregu lat mówią o potrzebie dostosowania się do kryzysu, obniżenia stopy życiowej, o sprawiedliwszem krajaniu bochenka dochodu społecznego i t. d., ale nie możemy sobie dać rady ze sprawą stosunkowo prostą i łatwą do wykonania, jak usunięcie kumulowania dwóch dobrych posad w jednej rodzinie.

Tylko że... po jednej stronie jest to prawo do pracy, a właściwie do zarobku na życie wygodne, wytworne, na bale i kawiarnie, jednem słowem na wyższą stopę życiową, a naprzeciw stoi nędza i rozpacz młodych, daremnie czekających na pracę — dla chleba.

Społeczeństwo, pogrążone w ideowym marazmie, czeka tu na dekrety rządowe, nie umie zaś samo zdobyć się na mocny odruch, któryby bez dekretów potrafił uporządkować tę drobniutką sprawę społeczną.

Dlatego artykuł p. Musioła posiada wartość, jako silne wystąpienie opinji, naogół nieśmiałej, opinji publicznej, która chce głośno zaprotestować przeciw wszystkim wyzyskiwaczom konjunktury.

Prawo do luksusu musi ustąpić przed prawem do życia.

CZESŁAW DROZDOWSKI.

II.

Już sam tytuł wprowadza mnie w kłopot nielada, bo zagadnienie dawania czy niedawania komuś pracy nie może być bez tak zw. „naciągania" rozpatrywane pod kątem moralności, a już zarówno niektóre wyrażenia, jak i platforma, na którą przesunął p. Paweł Musioł niesłychanie skomplikowaną sprawę zatrudnienia mężatek, uniemożliwiają niemal dyskusję z tym młodym, zapalnym i niewątpliwie wartościowym publicystą.

Mimo to celem ułatwienia rzeczowego rozważenia tego tematu rzucam garść uwag, naświetlających tę sprawę trochę inaczej.

Przedewszystkiem zagadnienie zatrudnienia kobiet a mężatek w szczególności jest zawsze stawiane na jakiejś niewłaściwej platformie. Jest to zarówno winą kobiet jak mężczyzn. „Ostatnie Mohikanki" feminizmu, a tych jest jeszcze spora grupa, tkwiące całą mentalnością w bojowej epoce walki o prawa kobiece, są maksymalistkami, pragnęłyby widzieć kobiety tylko dlatego i za to, że są kobietami na najwyższych stanowiskach i we wszystkiem widzą lub węszą krzywdę „upośledzonych kobiet", przez co utrudniają, kobietom, które chcą i mogą pracować, istotną pracę.

Mężczyźni zaś nawet najmądrzejsi, postępowi i nowocześni dzielą zadania społeczne na „męskie i babskie". Bardzo żałuję, że postanowiłam swoją replikę zachować w spokojnym i rzeczowym tonie, bo pewne zdania autora artykułu aż się proszą o złośliwość.

Mam wrażenie, że ze wszelkich względów: społecznych, narodowych, państwowych i ludzkich należałoby całe zagadnienie zatrudnienia obywateli przesunąć na jedynie właściwą platformę społeczno-ekonomiczną, odrzucając balast zupełnie zbędny i zaciemniający samo zagadnienie, problemów płci i stanu cywilnego. Inne stawianie sprawy staje się powodem wpadania w lepszego lub gorszego gatunku demagogję.

Prawo do chleba i najistotniejsze z ludzkich praw — prawo do pracy i zarobku, to prawo, które podważył kryzys i którego się nie zrealizuje i nie rozstrzygnie przez przesuwanie problemu z platformy na platformę i przez wyszukiwanie winnych i „bandytów" istotnych czy domniemanych. O ile możnaby się zgodzić na to, że dziś, gdy rąk i głów do pracy jest nadmiar, a pracy mało — należałoby dobrodziejstwa pracy zarobkowej pozbawić wszystkich, mających dzięki posiadanemu majątkowi zapewnioną egzystencję — to mnie się w głowie nie mieści, dlaczego mają cierpieć specjalnie kobiety a w szczególności mężatki. Czemu nie posiadacze kilku kamienic lub fabryk, czemu nie syn bogatego ojca, przecież i oni mogliby pięknie i nie po „babsku" a celowo i rzeczowo i po „męsku" zająć się bezpłatną pracą społeczną tak potrzebną i do której, jak autor artykułu wspomina, brak chętnych.

Dlaczego nie wolno pracować tylko mężatkom? Jak ma panować sprawiedliwość, to niech panuje — pozbawmy pracy „mamusinych synków", kapitalistów, zamożniejsze mężatki, a dajmy ją tylko tym, którzy innych źródeł utrzymania nie mają.

Pana Musioła dziwi, żę część kobiet, dodajmy część bardzo niemądra, która poddała się męskim argumentom o niższości prac kobiecych, uważa za ważniejszą pracę zarobkową od prac domowych gospodarczo - wychowawczych. Rozumna kobieta zawsze te sprawy stawia na pierwszym planie. To wy, panowie inteligenci, zdegradowaliście te prace kobiece — wy nadaliście im posmak niższości.

Mężczyzna prosty, wieśniak, robotnik, czy rzemieślnik zastąpi swoją „kobietę“ przy kominie, niańczeniu dzieci i nie uważa tego za ujmę. Wy zaś niemi gardzicie. Wy, panowie inteligenci „zdegradowaliście“ babskie domowe zabiegi i trzeba było dopiero kryzysu i biedy, by się okazało, że dobrobyt narodów i państw zależny jest od babskiej gospodarki w prywatnych gospodarstwach.

Czemu mężczyźni, mający czasem do gospodarskich prac zamiłowanie, ich się wstydzą?

Zgodzić się można, że jest „bandytyzmem“ zajmowanie posad przez ludzi, którzy mają utrzymanie. Ale czy pan czytał kiedy w sieni magistrackiej zapowiedzi — inteligenci przestali się żenić. Póki jeszcze wolno było zarobkować mężowi i żonie, jakoś można było związać koniec z końcem. Teraz — poprostu ludzie się nie żenią. Czy jest sprawiedliwością skazywać setki kobiet bądź na życie niemoralne, bądź na nielegalne związki?

Miejmy odwagę przyznać, że zagadnienie zatrudnienia mężatek jest zagadnieniem interesującem skazaną na zagładę kastę inteligencji pracującej. Cytuje Pan bardzo zacny i mogący zyskać poklask artykuł Pani Anny. — A czy Panu się, jako zjawisko wtórne odsunięcia kobiet wykształconych od prac inteligenckich nie nasuwa na myśl problem licznych rzesz t. zw. służby domowej, co się z temi dziewczętami stanie, gdy kobiety, zajęte jeszcze gdzieindziej, zajmą ich miejsce.

Kobiety nie są znów tak namiętnie pracowite i zachłanne na zarobki; jeśli tylko mogą dać sobie radę inaczej, chętnie rezygnują z pracy zarobkowej i zajmują się domem i „społecznościami“ zresztą tym tysiącem rzeczy, których rozkosze wam, panom świata, są niedostępne, jak szycie, haft, cerowanie, gotowanie i t. p.

Pogodzimy się, jeśli Pan postawi sprawę tak: 1. Pracę otrzymać mają ci, co jej do egzystencji potrzebują. 2. Ci, co są na swoich stanowiskach istotnie niezastąpieni, i to zarówno kobiety jak i mężczyźni, inni niech pracują darmo.

Jeszcze jedno: wszelkie zarządzenia oszczędnościowo-kryzysowe są wydane na dwa lata — czy jest sprawiedliwie, że punkty, odnoszące się do kobiet, pozbawione są tej problematycznie pocieszającej klauzuli?

Kobiety muszą się bronić, bo precedensy włoskie i niemieckie wskazują na to, że zdobyte i konstytucyjnie przyznane „prawa kobiet“ są zagrożone.

Artykuł Pana, aczkolwiek bardzo aktualny, wykazuje dowodnie, że mimo wszystko nie wyzwolił się Pan z pod atawistycznych poglądów na kobiety, że jednak kobieta jest według Pana niezupełnie godna tych samych praw, co mężczyzna.

WANDA KUPCZYŃSKA.

Artykuł mój p. t. „Moralne oblicze pewnego zjawiska“ wywołał żywe echo. Dowodem tego dwa powyższe artykuliki. Na replikę p. Wandy Kupczyńskiej winienem słów parę odpowiedzi. Otóż najpierw stwierdzenie: polemika z p. Wandą Kupczyńską jest równie trudna, a to wskutek tego, że autorka zgadza się na moje wywody, a walczy z tem, czego w moim artykule nie było.

Mimo mojej „zapalności“ uniknąłem krańcowości w artykule — przecież wyraźnie mówiłem, o jakie mężatki chodzi, p. Kupczyńska polemizuje ze mną tak, jakbym żądał zwolnienia wszystkich mężatek. Zeszła na zasadnicze zagadnienia, wiążące się z pozycją społeczną kobiety. Ale potwierdza że, „zamożniejsze mężatki“ nie powinny mieć posad, a „pracę mają otrzymać ci, co jej do egzystencji potrzebują“. Doskonale, widocznie p. Kupczyńska nie przeczytała uważnie mojego artykułu.

A teraz: czy dawanie pracy może być rozpatrywane pod kątem moralności. Nietylko może, ale również winno być. Wiemy dobrze, do czego prowadzi rozstrzyganie spraw jedynie na platformie społeczno-ekonomicznej.

Jeszcze ten „atawizm“: wybuchnąłem serdecznym śmiechem, gdym w finale tej sympatycznej polemiki przeczytał ten zarzut. Przecież chodzi mi o to, aby na miejsce pań nie potrzebujących zarobkować, przyszły kobiety, co pracy „do egzystencji potrzebują“.

PAWEŁ MUSIOŁ.

Przeglądy.

„Żywy Dziennik“ zaczyna poważnieć. Ale nietylko dlatego, że coraz więcej zaczyna mówić serjo. Również i z tego powodu, że niektóre dowcipy już kostką w gardle stają i wskutek tego śmiać się z nich nie można. Nadwornych humorystów należałoby puścić choć na jeden numer na urlop odświeżająco-wypoczynkowy i zmienić repertuar.

Nie udają się też i „gorole“. Sprowadzenie p. Balickiego czy p. Czachowskiego uważać należy za nieporozumienie, choć chęci Redakcji były jaknajlepsze. P. Czachowski z natury jest skłonny do powtarzania „swojemi słowami“ rzeczy powszechnie znanych i przez innych omówionych. Przeciw temu nawet 1500 stronicowy argument nie pomoże.

Z innych redaktorów wymienić należy pewnego filozofa, który przez 20 minut (dlaczego tak długo? gdzie zegarek naczelnego redaktora!?) balansował na krawędzi filozofji i błaznowania. I z tego wszystkiego nic nie wypadło. Ani dobry żart, ani nic poważnego. Jesteśmy zadowoleni, że posiada on prawdy, których nie chce objawić nikomu. Oby ich miał jaknajwięcej!

Inny znów redaktor dał nam porcję zmorowatego a płytkiego patosu, w którym chlupotała czysta jak łza — woda.

Trzeciemu z tej kolejki radzimy nad odczytanemi podaniami kandydatów na „deski sceniczne“ bliżej się zastanowić. „Kilka słów odpowiedzi“ było konieczne, bo omówione w nich sprawy nie mogły ani rusz dostać się do publicznej wiadomości za pośrednictwem oficjalnego organu.

W dobrym stylu zaprezentowali się inni: p. H. Moskwianka, świadomy architekt Michejda i wojewoda śląsko-podhalański, pan na Nowym Targu dr. Kipta. Omówili rzeczy interesujące i to w sposób najbardziej dla „Żywego Dziennika“ odpowiedni.

Nie wszystko musi mieć dowcip, ale jeśli jest niedowcipne, czy odrazu musi być nudne?

* * *

Z zadowoleniem sygnalizujemy pojawienie się w „Polsce Zachodniej“ (nr. 36) artykułu, do którego należy się odnieść z całem uznaniem, jako do poruszającego kwestję palącą a zbyt skwapliwie i grubo u nas tuszowaną. Jest to list otwarty polskich parafjan kościoła N. M. P. w Katowicach pod adresem ks. Dra. Szramka, który w wydawanych po polsku i po niemiecku „Wiadomościach Parafjalnych“ tak oto sobie napisał:

> „Parafjanie dzielą się na dwie główne grupy społeczne polską i niemiecką, a w polskiej zaznacza się wyraźnie dalszy podział na zasiedziałych tubylców i na parafjan przybyłych dopiero po zmianie suwerenności. W takich warunkach musi duszpasterstwo być bardzo elastyczne. Liczbowy stosunek obu narodowości ujawnia się samorzutnie przy zamawianiu Mszy św. (1935 r. było ich po polsku 1030 — po niemiecku 746) i w udziale nowożeńców w nauce przedślubnej (na polską przybyło 180 — na niemiecką 82). Procent Polaków waha się więc pomiędzy 59 — 68 %, a Niemców pomiędzy 41 — 32 %.
>
> Najmniejsze przywiązanie do kościoła parafjalnego okazują z natury rzeczy katolicy nowoprzybyli, których wielka część posiada jeszcze słaby zmysł parafjalny i grawituje raczej do kościoła garnizonowego, ku któremu też kieruje dosyć znaczną ofiarnosć swoją. Temsamem tłumaczyć należy m. in. fakt, że polski chór kościelny przy kościele N. M. P. z większemi walczy trudnościami, aniżeli chór niemiecki“.

A propos ten „zmysł parafjalny“ redaktorzy listu tak piszą:

> Przyczyny zaś tego objawu są chyba proboszczowi parafji N. M. P. znane i nie chcielibyśmy publicznie szeroko na ten temat się rozpisywać. Uważamy jednak za obowiązek wymienić główny powód wspomnianego objawu. Tym powodem jest przykry indyferentyzm w sprawach polskich, jaki panuje w atmosferze urzędu parafjalnego N. M. P. Na „przywiązanie“ patrjotycznie myślących polskich parafjan kościoła N. M. P. nie może dodatnio wpływać praktyka dwujęzycznego korespondowania ze strony Urzędu parafjalnego nawet z parafjanami, których polskość nie ulega najmniejszej wątpliwości.
>
> Nie może wytwarzać „przywiązania“ notoryczny fakt, że służba kościelna parafji N. M. P. częściej i widocznie chętniej używa języka niemieckiego niż polskiego. Że zaś chór polski w kościele N. M. P. mimo stwierdzonej nawet wedle kryterjów mszalnych większości polskiej „walczy z większemi trudnościami, aniżeli chór niemiecki“, to też jest rzeczą znamienną.

List ten a zwłaszcza jego niedomówienia mają swoją niepokojącą wymowę. Poprzestajemy na cytatach i czekamy na odpowiedź.

Ale nie ukrywamy, że znana nam jest rola, jaką odgrywa część duchowieństwa w stosunku do Niemców na Śląsku. Na żądanie fakcików przytoczymy na kopy. Zwracamy tylko uwagę na swoistą metodę układania statystyki narodowościowej u ks. Szramka.

Już raz tej kwestji łeb ukręcono, gdy poruszył ją Ilustrowany Kurjer Codzienny. Tembardziej jesteśmy ciekawi.

Ale cóż podyktowało ks. Drowi tak gorzkie słowa? Czyżby wzgląd na tak niewłaściwie skierowaną „znaczną ofiarność“?

Od Redakcji.

Panu K. L. Kończyce. Uważamy Pana za naszego stałego czytelnika. Za kartę i prenumeratę serdecznie dziękujemy. Wiemy, że po ostatnich obcięciach pensyj, położenie nauczycielstwa jest niedopozazdroszczenia. Będziemy Panu „Kuźnicę“ wysyłać nadal. Zapłaci Pan, kiedy to będzie możliwe. Łączymy uprzejme pozdrowienia.

WP. Janusz Ignaszewski, Katowice. Odbiór książek z podziękowaniem potwierdzamy. Również dziękujemy za życzenia. Zazwyczaj piszący „w imię prawdy“ na spełnienie ich liczyć nie mogą.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, Drapacz Chmur 18. Telefon Nr. 307 51. P. K. O. 304 581.

Wydawca i redaktor naczelny: Paweł Musioł. Redaktor odpow.: Wilhelm Imioła, Katowice

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł, numer pojedynczy 0,50 zł.

Ceny ogłoszeń: $^1/_1$ strona 200,— zł, $^1/_2$ strony 100,— zł, $^1/_4$ strony 50,— zł, $^1/_8$ strony 30,— zł, $^1/_{16}$ strony 15,— zł. Drobne ogłoszenia 0,25 za słowo.

Druk: Zakłady Graficzne „Mercuria“ Siemianowice Śl.